

ANDRZEJ WIERZBICKI

Instytut Historii PAN, Warszawa

O METODACH POLEMIK NAUKOWYCH
HENRYKA ŚLÓCZYŃSKIEGO

Pierwsza strona artykułu H. Śloczyńskiego *Konserwatywna historiografia a prawdziwe źródła stalinizmu, czyli argumenty i medale*, opublikowanego w „Kwartalniku Historycznym” nr 2 z 1999 r. (s. 33–55), będącego odpowiedzią na mój tekst drukowany w tymże periodyku w roku 1997, zawiera trzynaście zdań, do których prawdziwości chciałbym się ustosunkować. Niechaj zdania te posłużą jako reprezentatywna próbka całości artykułu H. Śloczyńskiego.

Zdanie pierwsze: „Andrzej Wierzbicki w artykule *Wokół «czarnej legendy» historiografii krakowskich konserwatystów* uznał mój poświęcony tej problematyce tekst za wystąpienie publicystyczne, wykraczające poza standardy i konwencje współczesnej historycznej «rekonstrukcji»”. To prawda.

Zdanie drugie: „Oceniał, że przedstawione tam tezy są pozbawione argumentów i dowodzą jedynie mojej elementarnej niewiedzy”. To nieprawda. W artykule pisałem wprawdzie o „braku argumentów”, ale o „elementarnej niewiedzy” H. Śloczyńskiego zupełnie nie pisałem. Nie mogłem tego zrobić choćby dlatego, że w przeciwieństwie do obiegowego określenia „elementarna wiedza”, którym skądinąd też nie posłużyłem się w tym artykule, określenie „elementarna niewiedza” uważam za bezsensowne. Po prostu nie sposób wyobrazić sobie jakiejś ilości czy też jakości „niewiedzy”, którą można byłoby uznać za „elementarną” (podstawową). Ja natomiast napisałem tak (być może zbyt poetycko): „Nieprzyjacielska «gorliwość» miała w końcu, zdaniem H. Śloczyńskiego, cechować się tym, że «Andrzej F. Grabski wytrwale uprawia retorykę pod hasłem teorii samobójstwa narodowego historyków krakowskich» (s. 213). I w ten oto sposób znaleźliśmy się w ogrodzie niewiedzy, zrywając najpiękniejsze jego kwiaty. Przecież to właśnie była retoryka krakowskich konserwatystów”¹. Łatwo zauważyć, że metafora „ogród niewiedzy” użyta została w odniesieniu do jednej tylko, wyraźnie określonej tezy. Nie pisałem więc o niczym „elementarnym” i dlatego chciałbym powtórzyć: enigmatyczne określenie „elementarna niewiedza” wyszło spod pióra H. Śloczyńskiego, a nie mojego.

¹ A. Wierzbicki, *Wokół «czarnej legendy» historiografii krakowskich konserwatystów*, KH 104, 1997, 2, s. 71.

Zdanie trzecie: „Przypisał mi niezdolność do trzeźwej oceny i uleganie emocjom, czego wyrazem jest z jednej strony przecenianie wartości myśli historycznej Szujskiego, z drugiej — rzucanie gromów na tych wszystkich, którzy nie byli skłonni do apologii krakowskiego historyka”. To nieprawda — nigdy i nigdzie nie przypisałem H. Śloczyńskiemu ogólnej „niezdolności do trzeźwej oceny”, suponowałem jedynie jego „alergiczne” uczulenie na sądy dotyczące krakowskiej szkoły historycznej i wykazywałem, jak już napomykałem wyżej, jego nieznaną kwestii tzw. retoryki samobójstwa Rzeczypospolitej. Kwestii tej poświęciłem zresztą odrębną, niepolemiczną i niepublicystyczną część mojego artykułu. Nigdy też i nigdzie nie przypisywałem H. Śloczyńskiemu, „przeceniania wartości myśli historycznej Szujskiego” i „rzucania gromów na tych wszystkich, którzy nie byli skłonni do apologii krakowskiego historyka”. To wszystko przecież można sprawdzić!

Zdanie czwarte: „Szczególnie nieuzasadnione jest, jego zdaniem, wskazanie na Andrzeja F. Grabskiego jako kontynuatora czarnej legendy konserwatywnej historiografii”. To prawda.

Zdanie piąte: „W związku z tym Autor przypisał mi postawę zawziętego i zaślepionego dekomunizatora, gotowego potępić w czambuł dorobek historyków ostatniego półwiecza, których jedyną winą było to, że przyszło im żyć i tworzyć w okresie PRL”. To nieprawda. W moim artykule ani razu nie padły takie słowa skierowane pod adresem H. Śloczyńskiego. Co więcej, w ogóle nie padło w nim ani jedno ze słów: „zawzięty”, „zaślepiony”, „dekomunizator”. A nawet nie padło słowo „postawa”.

Zdanie szóste: „Artykuł Wierzbickiego kwalifikuje się do tej szkoły polemiki, która stawia na werbalną siłę zarzutów, licząc chyba nie bez racji, że niewielu czytelników zada sobie trud dotarcia do tekstu inkryminowanego i żmudnego zbadania ich rzetelności”. To nieprawda. Marzę wręcz o tym, by ktokolwiek zechciał zestawić moje teksty z opublikowanymi w „Kwartalniku Historycznym” tekstami H. Śloczyńskiego.

Zdanie siódme: „Bynajmniej przy tym nie próbuje ułatwić czytelnikowi orientacji i nigdy nie określa, gdzie zostały zawarte tezy, które zwalczą”. To nieprawda. Nieprawda szyta w dodatku bardzo grubymi nićmi, każdy bowiem, kto zechce otworzyć „Kwartalnik Historyczny” 1997 nr 2, choćby na stronach 70–71, znajdzie wiele cytatów z artykułu H. Śloczyńskiego, z odniesieniami do odpowiednich stron. Odniesienia takie znajdują się wszędzie tam, gdzie *expressis verbis* przywoływałem dłuższe fragmenty tekstu H. Śloczyńskiego.

Zdanie ósme: „Jedynym bodaj wyjątkiem jest zacytowanie dużego fragmentu, którego Autor jak twierdzi nie rozumie (AW, s. 69)”. To nieprawda, co można sprawdzić, choćby otwierając mój tekst na wspomnianych wyżej stronach. Nieprawda tym większa, że nigdy i nigdzie nie stwierdziłem, iż nie rozumiem tego fragmentu. Określiłem go jedynie jako niezbyt jasny, a to nie oznacza przecież, że przyznałem się do jego niezrozumienia. Fragment ów zacytowałem po to, aby Czytelnik „na bieżąco” mógł ocenić, czy moja interpretacja jest w tym wypadku uzasadniona.

Zdanie dziewiąte: „Mógłbym sądzić, że nie zrozumiał zgoła nic z tego, co napisałem, gdybym nie był w stanie pojąć, że w tym wypaczeniu moich intencji leży jego interes”. To nieprawda. Nigdy nie widziałem swojego

interesu w wypaczaniu intencji H. Słoczyńskiego i nikt mi tego nie może zarzucić. Jedyнным moim „interesem” może być w tym wypadku tzw. higiena intelektualna, ale przecież w tym „leży” interes nas wszystkich.

Zdanie dziesiąte: „W opinii Wierzbickiego tekst mój stanowi próbę odnowienia jałowych sporów i nieświeżych conceptów, opartą ponadto na powszechnie znanym i wielokrotnie eksploatowanym materiale”. To prawda, z tym, iż odniesiona przeze mnie nie do całości tekstu, lecz do potraktowania przez H. Słoczyńskiego jedynie dwóch kwestii — pierwszej, dotyczącej nazwy „krakowska szkoła historyczna” i drugiej, dotyczącej tzw. optymizmu i pesymizmu w historiografii polskiej.

Zdanie jedenaste: „Autor pisze, że mógłby znacznie powiększyć liczbę skrajnych opinii, dotyczących tzw. szkoły krakowskiej, co byłoby jednak «powtarzaniem tego, co robili moi koledzy, a także ja sam»”. Tym razem nieprawda aż bije w oczy. Chciałbym zwrócić uwagę na sposób przekształcania tekstów przez H. Słoczyńskiego. Ja napisałem tak: „Powiedzmy jeszcze więcej, powtarzając się poniekąd: nigdy w dobie peerelowskiej nie sformułowano tylu tak ostrych zarzutów pod adresem krakowskiej szkoły historycznej, jak to zrobiono w poprzedzającym półwieczu. Mógłbym na poparcie tych tez przytoczyć dziesiątki zupełnie pominiętych przez H. Słoczyńskiego «czarnych» i bardzo czarnych opinii pochodzących z końca XIX i początków XX w., przy których złośliwe słowa znanej satyry Asnyka dadzą się czytać jak hymn pochwalny na cześć «nowej szkoły». Mógłbym, ale byłoby to powtarzanie tego, co robili już wielokrotnie moi koledzy, a także ja sam”². Łatwo dostrzec różnicę między, co najmniej dwuznacznie brzmiącym, powiększaniem liczby stronicznych opinii a przytaczaniem opinii z końca XIX i początków XX w. Co zatem upoważniło H. Słoczyńskiego do takiej transformacji mojego tekstu i „ustawienia” mnie w charakterze, eufemistycznie mówiąc, historyka-dewianta, chlubiącego się „powiększaniem” liczby stronicznych, a więc fałszywych ocen i przypisującego ową właściwość również własnym kolegom? Jakimi słowy określić można taki zabieg? A nawiasem mówiąc — w moim tekście mowa jest o „czarnych” wypowiedziach, przy czym słowo to ująłem w cudzysłów, by podkreślić, że nawiązuje ono do tytułu artykułu, z którym polemizuję. H. Słoczyński słowo „czarne” zamienił na „skrajne”, a cudzysłów po prostu opuścił, zmieniając sens całego zdania. Oczywiście miał prawo relacjonowania swoimi słowy tego, co ja napisałem i, jak widać, z prawa tego skorzystał, jakkolwiek nierzetelnie.

Zdanie dwunaste: „Akurat o tym nie trzeba mnie przekonywać”. To zdanie o tyle zaskakuje, że nigdy nie zamierzałem nikogo przekonywać, że jestem tym, czym nie jestem (czyli „powiększaczem” stronicznych opinii), i że napisałem to, czego nie napisałem. A zatem kolejna nieprawda.

Zdanie trzynaste: „Mam pełną świadomość, że wskazany krąg autorów uczynił wiele, by dorobek historyków, których z uporem upychali w worku z nadrukiem «szkoła krakowska», umieścić w kontekście powszechnego potępienia, jakie jakoby permanentnie i jednoznacznie towarzyszyło ich aktywności, a zwłaszcza publikacjom Szujskiego”. Ta nieprawda po prostu

² A. Wierzbicki, op. cit., s. 68–69.

mnie żenuje. „Wskazany krąg” to moi profesjonalni koledzy, pośród których nie znalazłem ani jednego, który zechciałby się opowiedzieć za czy przeciw stańczykom. Od czasu kiedy c.k. monarchia przestała istnieć, „szkoła krakowska” stanowi dla nich przedmiot badania, a nie opcję polityczną. Jak można nazwać umieszczeniem przez nich w „kontekście powszechnego potępienia” czynność polegającą na wznowianiu dzieła Bobrzyńskiego i rekomendowaniu go jako „wybitnego”, co zrobił wielokrotnie A. F. Grab-ski?

Podsumujmy. Spośród trzynastu zdań, które znalazły się na pierwszej stronie artykułu H. Słoczyńskiego, dziesięć wypacza prawdę. W tych dziesięciu przypisane mi zostały słowa, poglądy, praktyki, których nigdy nie wyrażałem ani nie stosowałem. Taka technika prezentacji poglądów adwersarza jest oczywistym nadużyciem. Polemistę „ustawia” się przy pomocy chwytów typu „Wierzbicki nie ma racji mówiąc, że...”, podczas gdy Wierzbicki nic nie mówi albo mówi coś wręcz przeciwnego.

Oto dalsze przykłady przypisywania mi rzeczy nieprawdziwych i polemizowania z nimi. H. Słoczyński napisał: „Tak więc Kalinka, Szujski i Bobrzyński (te nazwiska wymienia dalej Autor), nie widząc żadnej możliwości wpisania w porządek europejski zdegenerowanego organizmu polskiego, p o c h w a l a l i (podkr. AW) jego unicestwienie w imię równowagi geopolitycznej i likwidacji ogniska demoralizacji. Choć podobny zarzut sformułowano wcześniej wielokrotnie, tak że można było nawet uznać jego możliwości za wyczerpane, okazało się, że Wierzbicki potrafił odświeżyć go i nadać mu nową siłę.” (HS, s. 40). Jak i kogo mam zaklinać, że nigdy i nigdzie takiego głupstwa (jakoby wymienieni historycy p o c h w a l a l i upadek Polski) nie napisałem? A jednak H. Słoczyński z tym głupstwem polemizuje. Nie może sobie przy tym przypomnieć (HS, s. 40), że występując w jego obecności na sesji w Tarnowie w 1988 r. mówiłem: „Oczywiście Szujski nie chciał poszerzać arsenału argumentów tych nieprzychylnych Polsce historyków i działaczy politycznych, którzy w rozbiorach widzieli jedynie dopełnienie wyroku historii. Podobnie jak wielu innych polskich zwolenników „pedagogiki nagany”, chciał po prostu nauczyć swój naród przezorności i mądrości politycznej”³. H. Słoczyński nie chce również zauważyć, że nie tylko o Szujskim pisałem „dobrze”, a więc pozwolę sobie na jeszcze jeden autocytat: „Pesymizm» Kalinki płynął z patriotycznych pobudek. Sam historyk przyznawał, że pisał czasami z «żółcią», lecz żółć ta nie miała bynajmniej zaciemnić prawdy, tylko w całej rozciągłości unaocznic ją narodowi. Chciał zerwać z megalomańskim samouwielbieniem i brakiem autokrytycyzmu, które według jego diagnozy były nie tylko źródłem minionych nieszczęść, ale i barierą ograniczającą możliwość przekształcenia przez Polaków ich charakteru narodowego. «Prawda» Kalinki była prawdą czarną, mającą jednak służyć jasnej przyszłości. Tak też rozumiała swe zadanie większość historyków zaliczanych do krakowskiej szkoły historycznej”⁴.

³ A. Wierzbicki, *Szujski o Polakach*, „Tarnowski Magazyn Informacyjny TEMI”, 1988, nr 31, s. 4.

⁴ A. Wierzbicki, *Walertan Kalinka*, „Mówią Wtęki”, 1987, nr 1, s. 15.

O sposobie kreowania przez H. Słoczyńskiego intencji jego adwersarzy niechaj zaświadczy z palca wyssane twierdzenie, iż „milczącym założeniem” dokonanej przeze mnie analizy poglądów Stanisława Koźmiana zawartych w *Rzeczy o roku 1863* oraz zarysowania ich recepcji była chęć zasugerowania czytelnikowi „że to Szujski przemówił pod piórem Koźmiana” (HS, s. 44). Jest to insynuacja tym dziwniejsza, że niezależnie od tego, iż wręcz wytłuszczonym drukiem napisałem o zupełnie innych intencjach, które mi w tym wypadku przyświecały, to puentą kończącą omówienie poglądów Koźmiana uczyniłem następujące słowa Kazimierza Bartoszewicza: „Trzymajmy się Zachodu — wołał jeszcze na łożu śmiertelnym stańczyk Szujski — który pewnie, gdyby żył, odrzekłby się swego stańczykostwa, gdyby miało ono zachęcać do wejścia na drogę trójlojalności, wynalezionej przez p. Koźmiana. I Paweł Popiel odrzekłby się współlojalstwa stańczyków, gdyby widział jak pod wpływem przedśmiertnych dreszczów tego bractwa bredzi w gorączce jego historyk i apologeta”⁵. To wprawdzie nie są moje słowa, ale przecież ich przytoczenie miało służyć nie zamazaniu różnic między Szujskim a „późnym” Koźmianem, ale przeciwnie — ich wydobyciu.

Jeszcze raz muszę jednak pozwolić sobie na autocytat, by wykazać, że zniekształcenia moich myśli i słów przez H. Słoczyńskiego nie noszą charakteru przypadkowego. Utrzymując, iż nie warto walczyć z określeniem „krakowska szkoła historyczna”, pisałem: „Aspekt trzeci, moim zdaniem rozstrzygający, jest niezależny od jakichkolwiek racji teoretyczno-metodologicznych. Chodzi o to, że pojęcie (i nazwa) «krakowska szkoła historyczna» od dawna już stanowi tak oczywisty składnik polskiej tradycji kulturowej, że gdybym miał uwierzyć w to, że szkoły tej nie było, to musiałbym dać się najpierw przekonać, że nie było np. Żeromskiego i *Szyzofowych prac*”⁶. Komentując ów fragment, H. Słoczyński napisał: „Nie potrafię przyjąć takiej koncepcji poznania historycznego, w której deklaruje się niezależność używanych pojęć od «jakichkolwiek racji teoretyczno-metodologicznych»”. Po pierwsze, H. Słoczyński nie informuje Czytelnika, że chodzi tu o „aspekt trzeci” i że dwa wcześniej omówione aspekty dotyczą właśnie racji teoretyczno-metodologicznych. Po drugie, w sposób oczywisty nie chodziło mi w tym wypadku o „koncepcję poznania historycznego” (o czym nigdzie nie napisałem), tylko o tzw. obieg kulturowy nazwy *krakowska szkoła historyczna*, o czym napisałem przecież *expressis verbis*. Jeżeli jednak mam się przyznać do jakiegoś błędu, to jedynie do zbyt dużej entymematyczności tego fragmentu mojego artykułu. Odwołując się jedynie do tytułu powieści Żeromskiego, założyłem mylnie, że kanonem wiedzy polskiego historyka historiografii, zwłaszcza zajmującego się dorobkiem krakowskich konserwatystów, jest znajomość tego fragmentu *Szyzofowych prac*, w którym mowa o czytaniu syntezy dziejów Polski Bobrzyńskiego przez uczniów klerykowskiego gimnazjum, i że w związku z tym jest rzeczą oczywistą, iż choćby już tylko ten utwór, należący, przynajmniej za moich czasów, do obowiązkowych lektur szkolnych, wprowadził problematykę związaną z krakowską szkołą historyczną

⁵ A. Wierzbicki, *Wokół czarnej*, s. 84.

⁶ *Ibid.*, s. 64.

do polskiej tradycji kulturowej. Tymczasem H. Słoczyński, nie rozumiejąc owego milczącego odniesienia, potraktował to jako „absurdalne stawianie sprawy”, jako mieszanie fikcji literackiej z rzeczywistością historyczną i w sumie — jako rzecz niegodną poważnego pisma naukowego. A ja myślałem, że właśnie na łamach pisma naukowego mogłem pozwolić sobie na pewne skrótowe eksplikacyjne i związane z nimi asocjacje.

Wrywanie z macierzystych kontekstów strzępków zdań i osadzanie ich w kontekstach własnej wyobraźni to podstawowa reguła, którą H. Słoczyński stosuje w swoich artykułach. Wytykając mi np., iż uznałem za niekonsekwencję słowa Szujskiego, że „winy nasze nie są usprawiedliwieniem tych, którzy byli narzędziami jego [tzn. Boga] gniewnej ręki” (HS, s. 49), ukrywa przed czytelnikiem całość zdania (deformując przy tym jego pisownię), która brzmiała następująco: [Szujski] „Nie chciał «rozgrzeszyć» narodu, a przecież powołując się na jego odrodzenie w dobie Stanisławowskiej pisał, że «nie dekretem prawa narodów, ale dekretem prawa pięści upadła Polska ostatecznie», nie miał pretensji do Stwórcy, że ukarał on Polskę za jej «grzechy», a przecież podkreślał, że «winy nasze nie są usprawiedliwieniem tych, którzy byli narzędziami Jego gniewnej ręki»”⁷. I o takich właśnie niekonsekwencjach Szujskiego pisałem. H. Słoczyński w sposób ewidentny wypacza teksty, intencje i myśli tych, z którymi polemizuje. Jak nazwać tego typu zabiegi? Wszyscy operujemy cytatami, które czasem są jedynie częstkami zdań. Inaczej nie można. Jednak zabiegamy o to, by nie zatraciły ani nie wypaczyły one znaczeń nadanych im przez autorów oraz by zajmowały adekwatne w stosunku do autorskich intencji miejsce w budowanych przez nas ciągach eksplikacyjnych. To przecież alfa i omega naszego zawodu. H. Słoczyński zdaje się nie mieć szacunku dla tych zasad.

Żeby jednak nie koncentrować się jedynie na sobie i nie wydłużać nużącej zapewne polemiki, zacytuję już tylko „końcową” transformację zawartą w artykule H. Słoczyńskiego. Jej ofiarą jest ponownie A. F. Grabski — ten sam, który w dobie PRL wydawał jako „wybitne dzieło” *Zarys dziejów Polski* Michała Bobrzyńskiego. „Rzeczywiście — pokpiwa H. Słoczyński z A. F. Grabskiego — w opcji filozoficznej Bobrzyńskiego są kwestie poważnie niepokojące, pokazywał je już Szujski, ale żeby od razu wyrokować o jego komitywie z towarzyszem Stalinem, Bериą czy Żdanowem?” (HS, s. 55). Oczywiście Grabski nigdy czegoś takiego nie napisał. Słowa te dopisała jego myślom publicystyczna wyobraźnia H. Słoczyńskiego. Nie chcę rozsądzać, czy to nieuwaga, czy metoda, czy skrajny emocjonalizm, nie chcę też osądzać, z atmosferą jakich lat i jakich praktyk kojarzyć się może taka stylistyka. Faktem pozostaje, że H. Słoczyński całkiem dowolnie kreuje przedmioty swych ataków i polemizując z twórcami własnej imaginacji, usiłuje odnosić błyskotliwe zwycięstwa. Wobec takiej samowystarczalności, pozostawię go odtąd samego z sobą.

* * *

[Dopisek red.]: Zgodnie z przyjętymi zwyczajami na tym redakcja zamyka tę dyskusję na łamach „Kwartalnika Historycznego”.

⁷ A. Wierzbicki, *Spory o polską duszę*, Warszawa 1993, s. 152–153.